

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/opozycja-w-prl/85630,Solidarnosc-relacja-miedzyosobowa.html>



Druza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski; Msza św. beatyfikacyjna m. Urszuli Ledóchowskiej, Poznań, 1983 r. Fot. AIPN

ARTYKUŁ

Solidarność - relacja międzyosobowa

OKRES HISTORYCZNY

(1980-1990) Epoka Solidarności

Autor: PIOTR KLIMCZAK 18.08.2021

Solidarność z początku lat osiemdziesiątych była w swej najgłębszej warstwie międzyosobową relacją łączącą większość ówczesnego polskiego społeczeństwa, przejawiającą się w ludzkich postawach, decyzjach, działaniach i dziełach.

I

Wyraz „solidarność” pierwszy raz pojawił się w *Słowniku wileńskim*, wydanym przez Maurycego Orgelbranda w 1861 r. Autorzy owego dzieła wskazują na cztery znaczenia tego słowa. Pierwsze to „obowiązek zaciągnięty przez jedną osobę względem drugiej”, następne dwie definicje określają wyraz „solidarność” jako termin prawny, a według ostatniej bywa on synonimem „stateczności”. Pół wieku później, w *Słowniku warszawskim* Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego (w tomie szóstym, wydanym w 1915 r.), podano zwięźle do dziś aktualny sens potoczny: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, a już po roku, w *Słowniku ilustrowanym języka polskiego* Michała Arcta, znalazło się objaśnienie całkiem współczesne:

„odpowiedzialność każdego z członków związku za zobowiązania wszystkich i całego związku, za każdego z członków [...], łączność, wspieranie się wzajemne; zgodność w postępowaniu członków stronnictwa, zgodność interesów”.

Nie ma „solidarności” ani wyrazów pokrewnych w słowniku Samuela Bogumiła Lindego (wyd. 1807-1814), możemy więc zasadnie przypuszczać, że w pierwszej połowie XIX w. przodkowie nasi zaczerpnęli to słowo z języka francuskiego; *solidarité* – podobnie jak w polszczyźnie – było tam pierwotnie nazwą cechy pochodzącą od przymiotnika *solidaire* („solidarny”). Ten francuski przymiotnik notuje się od XVI w. (był w użyciu zapewne wcześniej, gdyż bardziej złożony przysłówek *solidairement* został poświadczony w drugiej połowie XV w.), głównie w kontekstach prawno-ekonomicznych; utworzono go od przymiotnika *solide* (stały, trwałe, mocny, silny, pewny, rzetelny, wytrzymały), aby oddać sens łacińskiego wyrażenia prawniczego *in solidum*. Zatem nasze dzisiejsze słowa „solidarność” i „solidność” są, jak mówią językoznawcy, prapokrewne, choć oczywiście nie jest to pokrewieństwo bezpośrednie.

II

W roku 1980, kiedy powstawała Solidarność, ukończyłem 19 lat, rozpocząłem studia, w sierpniu odbywałem obowiązkową praktykę robotniczą. Moją ówczesną tożsamość kształtował początek pontyfikatu Jana Pawła II. Żywo pamiętałem wieczór jego wyboru i dni po nim następujące; uczestniczyłem w jego pierwszej pielgrzymce do Ojczyzny (pojechałem do Gniezna). Wiedziałem też, co się wydarzyło w Polsce w grudniu roku 1970 i w czerwcu 1976. Jednak zarówno na tle tych doświadczeń, jak i w świetle posiadanej wówczas wiedzy miałem głębokie poczucie, że rozwijająca się Solidarność to coś w dziejach ludzkości rzadkiego, może nawet wyjątkowego. To przekonanie umocniło się we mnie w ciągu następnych czterdziestu lat.



Wierni pod parasolami na mszy papieskiej na lotnisku Muchowiec w Katowicach. Druga pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, 1983. Fot. AIPN

III

Zjawisko historyczne, którym była w latach osiemdziesiątych polska Solidarność, miało strukturę trójwarstwową. Na poziomie najbardziej powierzchniowym, na pierwszym planie wydarzeń, był to związek zawodowy. Instytucja ta jednak z różnych powodów nie zrzeszała wszystkich Polaków utożsamiających się z jej misją, toteż podzielałam ogólnie przyjętą opinię, że Solidarność była – w swej głębszej istocie – ruchem społecznym, obejmującym nie tylko członków związku i ich rodziny, lecz także licznych sympatyków, nienależących do tej organizacji. Moim zdaniem istniał jeszcze trzeci poziom tego zjawiska – najtrudniej uchwytny, a zarazem podstawowy. W swojej najgłębszej warstwie Solidarność była międzyosobową relacją łączącą większość ówczesnego polskiego społeczeństwa, przejawiającą się w ludzkich postawach, decyzjach, działaniach i dziełach.



3 maja 1983 r., Warszawa, demonstracja NSZZ „Solidarność”. Fot. AIPN

Chciałbym podzielić się uwagami dotyczącymi owej trzeciej warstwy Solidarności. Ograniczę się do tych osobistych spostrzeżeń, które dotyczą spraw rzadko zauważanych przez historyków.

IV

Pamiętam, że jesienią 1980 r., kiedy z młodzieńczą ciekawością zacząłem chłonać głosy i pisma rodzącego się Związku, najbardziej uderzającą ich cechą był w moim odczuciu autentyzm. Myślałem: nareszcie publicznie wypowiadamy się szczerze i otwarcie, starając się organizować to, co dla nas żywotnie ważne. Od ponad trzech dekad w polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej jedynym autentycznym zjawiskiem była przemoc. Realna była – oparta na przemocy – zależność od ZSRS, realna była (utrzymywana przemocą) zideologizowana dyktatura komunistów. Poza tym prawie wszystko, co oficjalne – w sferze ideowej, kulturowej, nawet częściowo cywilizacyjnej – było na niby. Dopiero od sierpnia roku 1980 Polacy po 35 latach zaczęli – ostrożnie, nie dotykając najniebezpieczniejszych problemów – wypowiadać się i zachowywać autentycznie, nie ukrywając, kim są naprawdę. Owszem, zdarzył się wybuch takiego autentyzmu podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny, lecz miał on charakter religijny, nie był tak powszechny jak Solidarność.

Autentyzm ów wyrażał się najpełniej w działaniu zgodnym ze specyficznymi polskimi rysami relacji solidarności. Postawa „jeden za wszystkich” polegała na bezinteresownej służbie: oddaniu rozwijającemu się ruchowi społecznemu swojego czasu, wysiłku, wykształcenia, swoich umiejętności czy też (zazwyczaj ubogiego) majątku; niekiedy wymagała przy tym wyrzeczenia się dla dobra wspólnoty osobistych sympatii i antypatii. Postawa dopełniająca – „wszyscy za jednego” – polegała na obronie prześladowanych, krzywdzonych, szykanowanych przez totalitarny reżim. Członkowie komitetów i komisji związkowych starali się pamiętać o pojedynczym człowieku, upominając się o niego indywidualnie, podając jego imię i nazwisko. Postępowali tak od początku strajku w Stoczni Gdańskiej, proklamowanego 14 sierpnia 1980 r. m.in. w obronie Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy; świadectwo takiej postawy znajdujemy w gdańskich postulatach sierpniowych; wśród żądań o wymiarze ogólnopaństwowym pojawia się tam podpunkt:

„uwolnić wszystkich więźniów politycznych (w tym Edmunda Zadrożyńskiego, Jana Kozłowskiego, Marka Kozłowskiego)”.

Dobro niesione przez Solidarność było autentyczne, zatem nieostentacyjne. Dlatego łatwiej niż czyny zauważało się słowa. Na tle oficjalnej polszczyzny, którą posługiwali się rządzący, ich propagandziści czy funkcjonariusze systemu władzy – mowy zrytualizowanej, szablonowej, obfitującej we frazesy, nacechowanej ideologiczną, bardzo uproszczoną aksjologią, kłamiącą i usiłującą przekonać do kłamstwa – wypowiedzi związkowców wprowadzały do społecznego obiegu jasność myśli, czystość intencji, precyzję komunikatu oraz szacunek dla odbiorcy.

Teksty Solidarności początku lat osiemdziesiątych różniły się od wszystkiego, co ówczesnie pisano – był to przekaz świeży i duchowo orzeźwiający. Pojawiło się w nim słowo „porozumienie”, niosące nadzieję. Polszczyzna Solidarności czerpała najwięcej ze stylu potocznego; miała prostą, nierozbudowaną składnię, a pod względem odniesienia do rzeczywistości – była konkretna, jednoznaczna i trafna. Skąd się wziął taki doskonały język, skąd ta mowa o wysokiej etycznej jakości? Pamiętam, jak się nad tym zastanawiałem czterdzieści lat temu – i do dziś nie znajduję wystarczającej odpowiedzi. Miało się wrażenie, jakby z nagle otwartego wywierzyśka wypłynęła długo wzbierająca – i długo oczyszczająca się cierpieniem – podziemna rzeka.

Nie ma „solidarności” ani wyrazów pokrewnych w słowniku Samuela Bogumiła Lindego, możemy więc zasadnie przypuszczać, że w pierwszej połowie XIX w. przodkowie nasi zaczerpnęli to słowo z języka francuskiego; *solidarité* – podobnie jak w polszczyźnie – było tam pierwotnie nazwą cechy pochodzącą od przymiotnika *solidaire* („solidarny”).

Była to rzeka prawdy. Jednak nie całkiem żywiłowa, gdyż od początku w newralgicznych punktach regulowana. Znowu nie mogłem się nadziwić, w jak królewski sposób prawda wówczas panowała sama nad sobą, poddana mądrości. Związkowcy mówili wreszcie, tłumioną od 35 lat prawdę, ale najgroźniejsze jej

aspekty przekazywano między wierszami, milcząco albo też aluzyjnie, mową ezopową.

W zachodniej części wrocławskiego Rynku w roku 1981 zatrzymywałem się niemal codziennie, żeby posłuchać solidarnościowych komunikatów i audycji nadawanych przez głośnik na stojącym tam związkowym samochodzie marki Nysa. Zwykle stałem w grupie ponad stu osób, około pół godziny, niekiedy dłużej. Rozdawane na ulicach ulotki czy gazetki Solidarności rozchodziły się błyskawicznie. Podobnie szybko wykupywano drugoobiegowe czasopisma i książki rozprowadzane przez studentów. Głód prawdy ogarniał coraz większe rzesze ludzi i był wręcz nienasycony po kilku dziesięcioleciach panowania kłamstwa. Oczywiście częstą, kuszącą formą tamtego kłamstwa był relatywizm, zwłaszcza moralny, już wtedy rozpowszechniony wśród inteligencji. Jednakże Solidarność nie tylko przypominała, że prawda jest obiektywna – Solidarność wcielała w życie dążenie do poznawania jak najpełniejszej prawdy i zgodnego z prawdą postępowania dla dobra społeczności. Okazywało się, że nie ma równie prawdziwych systemów filozoficznych – rozum ludzki umie znaleźć i wybrać rozwiązania, w których zawiera się więcej prawdy.

Panowanie prawdy w działaniach ówczesnej Solidarności pozwoliło dojrzałe przeżywać wolność, której przytył poczuliliśmy wtedy z radością i umiarkowaną nadzieją. Najważniejsza była wszakże odzyskana wolność wewnętrzna, nastąpiło bowiem duchowe przebudzenie narodu z niewolniczego poczucia geopolitycznego uwięzienia. I podobnie jak mądrość panowała nad głoszeniem prawdy, tak nad urzeczywistnianiem wolności panowała odpowiedzialność. Okazywało się, że wolność zawiera w sobie istotowe samoograniczenia, czyli jest najpełniejsza, kiedy panuje nad sobą, a granicą wolności osoby są dobro innych osób i dobro wspólne. Dlatego odzyskanie niepodległości czy też odsunięcie od władzy komunistów to były niewypowiedziane wprost marzenia, tymczasem zaś Solidarność skupiała się na osiągnięciu kompromisów w dziedzinie polityki społeczno-gospodarczej.



**Demonstracja Solidarności przed
katedrą św. Jana w Warszawie, 1
maja 1984 r. Fot. AIPN**

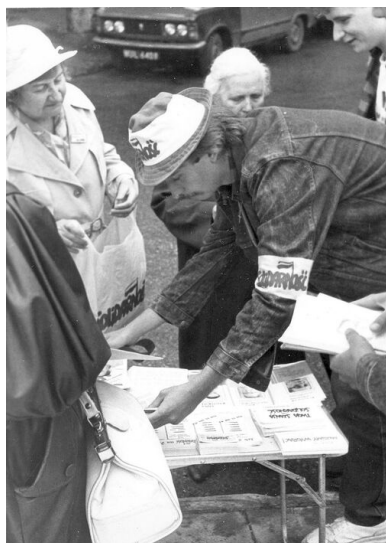
Solidarnościowy realizm rozeznawania granic, umożliwiający działanie społeczne zgodne z naturą człowieka, poddaną granicom i ograniczeniom – formował postawę walki bez przemocy. Protesty organizowano w postaci strajku okupacyjnego w zakładach pracy, dzięki czemu ryzyko siłowej konfrontacji było znacznie mniejsze niż podczas demonstracji ulicznych. Zaniechanie jakiegokolwiek przemocy ze strony strajkujących nie wynikało ani z czyjegoś nakazu, odgórnych ustaleń, ani z jakiejś umowy (takiej też nie było – wobec braku swobodnego obiegu informacji). Postawa ta była wówczas bezwyjątkowa i oczywista. Przejawiała się w szacunku

dla przedstawicieli władzy państwowej, mimo że reprezentowali reżim narzucany militarną siłą, niesprawiedliwy, posługujący się terrorem i kłamstwem. Ta postać miłowania nieprzyjaciół wyrażała się na co dzień w języku – zupełnie pozbawionym agresji. Od sierpnia 1980 r. do dnia ogłoszenia stanu wojennego (13 grudnia 1981 r.) nie napotkałem ani jednej obelgi, ani jednego wulgaryzmu, wyzwiska czy nawet szyderstwa pod adresem osób należących do aparatu władzy. Kontrastowało to z wypowiedziami pochodzącymi z drugiej strony, szczególnie w środkach masowego przekazu. Wydarzenia następnych lat poświadczyły, że przemoc werbalna toruje drogę przemocy fizycznej.

Podjęcie strajków i doprowadzenie ich do końca wymagało męstwa; protestujący przecież pamiętali, w jaki sposób władze Polski Ludowej zwykły rozprawiać się z nieposłusznym „ludem”. Obok tej odwagi narażania się na bezpośredni zbrojny atak, a potem bicie, więzienie i pozbawienie środków do życia, było w Solidarności w latach 1980–1981 dyskretne męstwo umiaru, męstwo szukania godności na drodze pośredniej między rezygnacją a rewolucją. Należałem wtedy do Niezależnego Zrzeszenia Studentów i brałem udział w uczelnianych strajkach, więc pamiętam, że nawet działanie w organizacji studenckiej, nieobarconej taką odpowiedzialnością jak w tamtych warunkach związek zawodowy, wymagało opanowania i roztropności. Odkryłem wówczas, że wartościowym pasmem takiej drogi pośredniej jest podążanie za ideą praw człowieka. Przywoływano je, począwszy od strajków sierpniowych, w negocjacjach z władzami – okazywały się argumentem niezmiernie trudnym do pokonania lub odrzucenia. Każda osoba ma prawo do szacunku, do życia, do bezpieczeństwa, do wolności, tylko dlatego że jest człowiekiem – prawa te są nieodłączne od naszej ludzkiej natury, jak mówiono wtedy: niezbywalne. Przypominam sobie, że wcześniej, w latach siedemdziesiątych, kiedy w sytuacji towarzyskiej ktoś mówił o prawach człowieka, spotykał się z ripostą, że to wiara w mrzonki. Czy z powodu niewolniczego zniechęcenia, czy wskutek lęku przed prowokacją? Solidarność odważnie przypominała światu, że prawa człowieka są relacją rzeczywistą.

Niewątpliwie istotnym katalizatorem solidarnościowego przełomu był wybór kard. Karola Wojtyły na papieża, jeszcze ważniejszym – jego pierwsza pielgrzymka do Polski. To także dzięki tym wydarzeniom Solidarność przyswoiła sobie najlepsze dokonania polskiego katolicyzmu i płodnie z nich czerpała w działaniu. Rządziej wspomina się przy tym o pokrewnym rysie relacji solidarności, który pamiętam jako szczególnie ożywczy. Po latach dyskryminacji religijnej – bardziej ukrytej w porównaniu z innymi państwami „demokracji ludowej”, jednak dokuczliwej i łamiącej sumienia – powracał charakterystyczny dla Polski duch religijnej tolerancji. Myśl o tym, że z chwilą biologicznej śmierci życie nasze „zmienia się, ale się nie kończy”, udzielała się agnostykom

i ateistom w postaci otwarcia na tajemnicę istoty człowieka, tym bardziej upowszechniając i umacniając poczucie ludzkiej godności.



**Z okresu wyborów 4 czerwca
1989 r. Fot. AIPN**

V

W moim doświadczeniu szczególnie ważne cechy Solidarności to autentyzm słów, postaw i czynów, działanie jednoczące wartość dobra wspólnego i osobistego, poszukiwanie coraz pełniejszej prawdy i mądrości, równowaga między wolnością a odpowiedzialnością, podążanie między skrajnościami trudną ścieżką godziwego kompromisu, domaganie się wzajemnego respektowania praw człowieka, otwarcie w życiu społecznym na transcendencję.

Tekst pochodzi z numeru 9/2020 „Biuletynu IPN”

COFNIJ SIĘ